

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 2 Maja 1914 roku

№ 18.

Andrzej Strug.

## „Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-  
skie i wydawców za-  
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

18

W pierwszych czasach ośnienia ludziła się, że pod jej wpływem kolosalny majątek Jenny przyczyni się do zwycięstwa dobrej sprawy, że nagromadzone setki milionów ożywią ruch społeczny, ulżą nędzy, stworzą szereg nowych instytucji.

Ostrożnie i umiejętnie działała w tym kierunku. Jenny pozostała obcą tym pracom, ale czekała podpiśniętą chętnie i to na wszelką wymienioną sumę. Za jej pieniądze wydawano już kilka pism, za jej pieniądze kilkadziesiąt agitatoerek czyniło ruch i zgiełk po całym kraju, za jej pieniądze kwestya kobieca w Stanach mogła być łatwo rozwiązana...

Ale po roku zawahała się ideowość i ideologia mistress Brigs. Oddaliła się od ruchu, zawarła się w sobie i w swoich coraz trudniejszych obowiązkach. Zaczęły się fantastyczne podróże Jenny. Dama do towarzysstwa i opiekunka po raz pierwszy w życiu zobaczyła szeroki, odmienny świat o starej kulturze, jego uroczą rozmaitość, jego starodawne pomniki i pamiątki, jego świetne, piękne stolice.

Jej dusza rozrosła się, rozszerzyły się widnokręgi przed jej już dojrzałym umysłem. Jakgdyby dopiero teraz zrozumiała prawdziwy sens świata i rację bytu człowieka: władać wszystkim, panować nad każdym. Z zamętu trudnego przetwarzania się wydobyła się już inna i już świadoma własnego przewrotu.

Cierpiała bardzo, gdyż nie widziała sposobu dobycia się z nędzy zależności aż na szczyty społeczne. Pokusa prześladowała ją, jak nieprawdopodobna chimera. Gardziła wszystkim, co dawało jej życie, jako opiekunkę Jenny. Przecie pobierała pensję bajecznie wysoką, tak samo mieszkala, tak samo jadła, tak samo podróżowała i to samo widziała, co

dziedziczka miliarda. Jednak to właśnie przejmowało ją wstrętem i uczuciem poniżenia, zatrutowało jej każdą przyjemność.

Broniła się przed tem i nazywała to w sobie chorobą, zakażeniem miazmatami bogactwa.

Zwalczała się mężnie, wytrwale, bezowocnie. Aż pewnego dnia — było to w Londynie — otrzymała grzeczny list od swego wroga i wroga swojej pani, wyrodnego stryja Jenny, z zaproszeniem na konferencyę.

Poszła. Udała się tam wroga i opancerzona. Spędziła z Shurmanem dwie godziny w cztery oczy. Walczyła z nim mężnie, ale z sobą samą przegrała bitwę.

O niczem jeszcze nie mówili wyraźnie — ale słowo „milion“, choć nie było wypowiedziane, zadźwięczało głuchym, potężnym jękiem złota — jeszcze, jakby z pod ziemi.

Rozstali się obojętnie i zimno, ale mistress Brigs już była kupiona. Od tej chwili zaczęła się jej istotna opieka nad Jenny. Chimera spłynęła z niedościgłej wyżyny, zasuniała skrzydłami i znikła. Ale poszum jej skrzydeł przestał być szyderstwem bezpłodnego marzenia. Stał się hasłem bojowym o zdobycie świata, otuchą, nadzieją.

Mistress Brigs wzięła arkusz papieru i wyraźnie, spokojnie, wielkimi literami pisała obszerny, oficjalny telegram do stryja Jenny. Opisała mu ciężkie położenie chorej, zdawała sprawę z zarządzeń, które poczyniła, prosiła go o radę, jako głowę rodziny, i przygotowywała go zawczasu do zniesienia najgorszej nowiny.

### XI.

Nad Paryżem blade, poczynające się dzień przebijał się przez ciężką, mroźną mgłę styczniowej nocy.

Tuman oparów, zrodzony na dalekich równinach, przybłąkany z nadziemnego morza, zapadł w kotłinę pokrętną Sekwany między jej zabudowane wzgórza i leżał ciężko związany, obezwładniony przez morze dymów, przez wyziew życia potwornie stłoczonej milionowej masy ludzkiej.

Zbitą chmurą leżały mgły na ciemnych falach rzeki, szczelnie wypełniały ulice i pokrętne zakątki, wznosiły się ponad wieże kościołów, ponad kominy fabryk, przez szczeliny wciskały się do wnętrza domów.

A kiedy o zwykłej godzinie zaczęły przygasać latarnie uliczne, zda się, dalsza, jeszcze głębsza noc spadła na miasto.

Ponuro rozlegały się po pustych ulicach pierwsze odgłosy już obudzonych ludzi.

Głucho hurkotały ciężkie, ładowane, dwukolne wozy, ciągnące nieprzeżranymi sznurami ze wszystkich krańców miasta ku głównym hałom. Przenikliwie brzmiały głosy woźniców, pokrzykujących na konie. Tłukły się blaszane kubły śmieciarzy, tu i owdzie ze zgrzytem już podnoszono żaluzje sklepów, otwierano szynki i kawiarnie. Z łoskotem, ziejąc parą, przemknął się pustymi ulicami, dążąc ku hałom, pociąg towarowy.

Na tle mgły krwawo biły czerwone plamy latarni ze stacyi kolei podziemnej, luezał głuchy grzmot przelatujących co chwila pociągów.

Po schodach stacyi „metro“ Châtelet, potracany przez tłum śpiących się ludzi, wspinał się z trudem młody człowiek w niedbałym, nawpół sportowym ubraniu, o martwej twarzy, z gorączkowo świecącymi czarnymi oczyma. Spieszył się niezmierznie, ale nogi uginały się pod nim. Wydzierał się co chwila ruchem nieomal rozgrymaszonego dziecka podstarzałego dżentelmena, odzianemu w wytworny strój balowy, wyglądający z pod rozchyłonego wspaniałego futra.

— Chłopcze drogi... Znowu jakieś głupstwo! Moheno, posłuchaj!

Po co tu wysiadasz? Po co ci było „metra”? Szanuj zdrowie! Bierze-  
my natychmiast „taxi” i spać! Przy-  
jacieli ci to mówi.

I brał go mocno pod ramię, o-  
bejmował go wpół, jak dziecko. Ale  
Moheno szarpał się i wydierał nie-  
udolnie. Ludzie, przebiegający mi-  
mo nich, śmiali się.

— Pijany jesteś — nie róbnij  
widowiska — spać, spać! Spieś się,  
jak szewc! Przyjacieli ci to mówi...

Moheno stanął u szczytu scho-  
dów, oparł się o balustradę i chciwie  
wciągał mroźne powietrze. Oczy bie-  
gły mu w posępną, pustą dal ulicy  
Rivoli. Czegoś tam szukał, na coś  
wyczekiwał z naprężeniem.

— Widzisz, mały, rozebrało cię  
na powietrzu. Dawajno łapę, idziemy  
spać. Widzisz, jakie głupstwo się  
stało — pijany jesteś, a tu ani jedno-  
go fiakra...

Ale młody człowiek wydarł się  
i pobiegł dziwnie szybko i sprawnie  
środkiem ulicy w kierunku Luwru.  
Opiekun zaklął, zakasał futro i popę-  
dził za nim.

Moheno stał nad wielkim kubłem  
ze śmieciami, jakie o świcie wynoszą  
z każdego domu, i bezmyślnie grze-  
bał łaską w obierzynach i zdartych  
na strzępy papierach.

Człowieczek mały, obrośnięty  
siwą szczecina, z workiem na plecach,  
obdartus i wyjątkowy brudas,  
który szperał około kubła w poro-  
rzucanych po ziemi resztkach, roze-  
śmiał się i poklepał go po plecach.

— Co? Wesoło było? Opowia-  
daj...

— Jak się masz. Dawno cię nie  
widziałem!

— O, dawno! Bardzo dawno,  
bo nigdy...

— Oj, nie łżyj! Miałeś knajpę  
w porcie w Vera Cruz?

— Gdzie?!

— Nie... To było w Alvarado!  
Dziewczyny u ciebie były zawsze  
najśliczniejsze! A co się stało z Do-  
menicą? Pamiętasz? Ja będę zawsze  
pamiętał, bo to ona była pierwsza.

— Oho—ho... To my znajomi.  
I nie żal panu, że ja śmiecie zbieram?  
Ha, ha, ha!...

— Kara boska! Zupełnie słu-  
sznie! Czemuś dziewczynę sprze-  
dał na angielski żaglowiec? Przecie  
ją zameczyli majtkowie.

— To plotki. Ta panna jest ca-  
ła i zdrowa.

— Co ty mówisz?! Gdzie ona?

— Kości zbiera, zaraz tu przy-  
jedzie na wózku z osiołkiem.

— Dosyć głupstw! Nie widzisz,  
stary, że pan gada od rzeczy?

— O, przepraszam pięknie mi-  
lorda — my tu sobie rozmawiamy  
grzecznie. My zdawna znajomi.

— No, to i dość. Chłopcze, idzie-  
my.

— Wiesz, kto on jest? — mówił  
Moheno, kładąc jedną rękę na ra-  
mieniu śmieciarza, a drugą wskazu-  
jąc na starego dżentelmana.

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie  
sam ambasador cesarza perskiego.

— To baron de Dambriers, zna-  
ny złodziej. Jeszcze gorszy od cie-  
bie. Tyś puszczał dziwki majtkom,  
a on sprzedał rodzoną córkę. Szu-  
bawiec... Możesz mu napluć w same  
oczy, a nie obrazi się. Pijanych do  
domu odprowadza i okrada po dro-  
dze. Za tysiąc franków da się bić po  
mordzie. Spytaj go, ile mi dziś u-  
kradł? Jakaśmy wychodzili z domu,  
miałem całe piętnaście tysięcy...

— Ohoho!... Ohoho!...

— A teraz nie! Nie mam na fia-  
kra! Słuchaj, stary. Ja go będę  
trzymał, a ty szukaj po kieszeniach.  
Co znajdziesz, to twoje. Obłowisz  
się — najmniej dziesięć tysięcy.  
Trzeba go raz nauczyć.

Stary dżentelmen słuchał tego z  
niewzruszoną twarzą i ciągnął za ra-  
mię pijanego, prawiącego mu w sa-  
me oczy najokropniejsze obelgi.

— Chodź, chodź!... Zimno, spać  
się chce dyabelnie... No, już, mój  
chłopcze... — przemawiał łagodnie.

— Dobrze... Ide... Ale...

Oczy śmieciarza śmiały się do-  
broduszenie, ale w wynędzniałych ry-  
sach czała się przenikliwa chytrłość.  
Coś przeczuwał, coś odgadywał, my-  
ślał szybko.

Przesunął się przed nim jakby  
sen. Jakby się upił w jednej chwili.  
Patrząc za oddalającymi się panami,  
doznawał uczucia, że go okradziono.  
Jakaś bezczelna pewność siebie po-  
derwała go z miejsca. Cisnął worek  
i pobiegł za nimi.

— Panie! Panie! A co ja po-  
wiem tej pannie? Ona zaraz...

— Domenica? Gdzież ona? Mia-  
ła przyjechać na osiołku?

— Tak, na osiołku, ta sama! Ja-  
ka śliczna...

— Zaczekajmy, Dambriers. Ja ją  
kiedyś bardzo kochałem...

— Ruszajno, stary! Chcesz, że-  
bym zawołał policyanta?

— No, no! Żebym ja go nie za-  
wołał!

— Racya! Prowadźmy go do  
komisaryatu! Wszystko opowiem!  
Niech się raz skończą świństwa!  
Niech wsadzą jego i mnie! — za-  
krzyknął Moheno w strasznie pod-  
nieceniu.

Ale śmieciarz, zoczywszy opo-  
dał na rogu prawdziwego policyan-  
ta, pomknął cicho, jak kot, ukosem  
na drugą stronę ulicy i znikł.

Odnalazł się dopiero niedaleko  
od Pont-Neuf, gdzie dwaj nieznajomi  
spierali się o coś zawzięcie.

— Panie! I cóż będzie z Do-  
menicą?!

— Prawda! O mało nie zapo-  
mniałem!!

— Dziewczyna tęskni...

— Masz tu dla niej... Wszystko  
mi ten złodziej zabrał... A ja już  
nie mam czasu, na nic już nie mam  
czasu...

I szybko zsunał z palca dwa  
pierścionki. Śmieciarz prawie wy-  
rwał mu je z ręki, nie tracąc z oczu

ani jednego poruszenia starego džen-  
telmena.

— Dobrze... Dobrze...—mrucał.  
Ja jej powiem.

— Powiedz jej...

I nie dopowiedziawszy, Moheno  
puścił się pędem na most. Śmieciarz,  
którego baron de Dambriers trzymał  
już za kark, podział się gdzieś w nie-  
pojęty sposób. Klnąc i wołając o ra-  
tunek, stary pogonił za pijanym. Do-  
padł go wnet.

— Puść...

— O, dosyć tego, mój drogi...

— Puść! — daj mi przez chwilę  
popatrzeć na wodę...

— Moheno, bez głupstw!

Młody człowiek stanął na brze-  
gu jednej z półkolistych galerii, idą-  
cych dwoma rzędami po bokach mo-  
stu, i chciwie zajrzał w dół. Dam-  
briers trzymał go mocno.

Ponuro biegły czarne wody w  
martwych, kamiennych brzegach.  
Niezmierzoną zdawała się być ich  
głębina. Biło od nich zimno śmierci—  
ostateczne zapomnienie trosk i rado-  
ści, pokusa niepojętej przemiany.

Pochłonie woda w mgnieniu  
oka największą krzywdę, najokrop-  
niejszą podłość. Rozwiąże najtragi-  
czniejszy węzeł nieszczęsnych losów  
ludzkich, obmyje każdy brud.

Płynęły w dal z czarnym nur-  
tem zagasłe losy nieprzebranych  
kroci istot ludzkich, które tu znala-  
zły wieczyste ukojenie. Już darowa-  
ne są życiu ich zbrodnie i nieszczę-  
ścia. Wszyscy niewinni, spokojni i  
równi sobie w nicości...

Zamarły wśród ciszy nocnej o-  
statnie ich przedśmiertne jęki — kie-  
dy w bólu i trwodze przerywała się  
nić żywota. Bez echa i pamięci plu-  
szcze fala śmierci. Idzie niezmor-  
dowana, niewyczerpana, zawsze go-  
towa. Odpycha, przeraża, kusi...

We mgle błado kreśliły się za-  
ręby drugiego mostu. Jeszcze pali-  
ły się na nim sygnałowe latarnie i  
rzuciły na wodę głębokie, czerwone  
plamy. Mieniała się i kłębiła woda  
w tych miejscach, jak żywa, falują-  
ca krew. W mętym półmroku po-  
czynającego się dnia z wirów i po-  
kreconych prądów układało się i za-  
mazywało co chwila inne, hieroglifa-  
mi pisane słowo, tajemnic pełne.

W nieskończoność szły z obu  
stron i ginęły we mgle dalekiej poła-  
mane zręby starych, ciemnych do-  
mów. Na prawo nieogarnione gma-  
chy Luwru czerniały martwo, jak je-  
dnolita, okrzesa ściana skalna. Na  
rzece już dymił, pnąc się w górę, ho-  
lownik. Schował się pod mostem,  
okrył wszystko duszącym, gęstym  
dymem. Zawył groźnie, długo, po-  
nuro.

Moheno porywczo zasłonił so-  
bie uszy rękoma. Ból wyrwał się na  
jego zbiedzonem obliczu.

— Oh... Oh, jak ona na mnie  
woła!... Patrz na rzekę, stary przy-  
jacieliu — przecie niema i nie będzie  
nigdy lepszej pory!... Puść mnie,  
rozstańmy się uczciwie! Daruj mi



wszystko... Chciałbym, żeby tu teraz stała moja matka... Ale nie — za- nadto się wytarł po rynsztokach... O, matko! Nie dobrze jest, że mnie tu pożegna właśnie taka świnią, jak ty. Dambriers, pocałujmy się. Nie wiem, po co żyłem... Więc umieram zaraz... Puszczaj, puszczaj-że...

Nagle krzyknął i odskoczył od parapetu. Baron cofnął się również.

Przed sekundą zaledwie minął ich szybko jakiś obdarty i skulony z zimna człowiek. Baron pamiętał jeszcze jego dzikie i roztargnione nie- widzające spojrzenie. Teraz ten sam człowiek, odszedłszy od nich zale- dwie o kilka kroków, bez namysłu i bez jednego słowa przełożył nogi przez parapet i skoczył.

Znikł. Głucho odezwała się głę- bia. Ukazał się na mgnienie oka już dziwnie daleko i zginął we mgle, le- żący nad wodą.

Baron obejrzał się wokoło wy- straszony. Moheno uciekał ze wszy- stkich sił środkiem mostu. Stary ro- zeźmiał się nerwowo, widząc jeszcze, jak policyant, tego drab w pelervnie, zatrzymał go w locie i trząsł nim.

— Człowiek tonie!

— Gdzie? Kto?

— Skoczył z mostu, tuż przy nas!

— Tak jest! Już zatonął, widzia- łem, — rzekł baron, podchodząc do nich.

— Panowie znajomi?

— To mój przyjaciel, uciekał z wrażenia... Puść-że go pan... Idź le- piej ratować.

— Kto jego tam uratuje... Jaki on był? Kto porządny?

— Jakiś biedak... Nieszczęśliwy człowiek!

Policyant machnął ręką.

— Dziś ich będzie spór. To z zimna. Przewłóczy się taki przez całą noc i nad ranem już nie może wytrzymać. A nieraz bywa — o tej porze wygonią ich rano z przytułku noclegowego — nie ma czterech su- sów na rozgrzewkę i wali do rzeki.

— A od czego policya rzeczna?

— Od wypadków! Ale jak kto z dobrej woli. Jeszcze by tam ludzi dla niego narażać...

Moheno słańiał się na nogach. Był już zupełnie wytrzeźwiony. Dy- gotał i trzymał się oburącz ramienia swego opiekuna. Dambriers zatrzy- mał przejeżdżający samochód i we- pchnął przyjaciela.

— Dambriers... Od dzisiaj no- we życie. Naipróżd chcę, żeby przez całą zimę wszyscy biedacy w Pary- żu mieli gdzie spać. Żeby nie było już tego ani razu... O, Boże... O, Bo- że... Kto się tu zajmuje noclegami dla nędzy? Dam, ile będzie trzeba — na wszystkich! I na obiady! Tak. A po- tem zapisuję się na uniwersytet. Skończone ze świństwem!

Dambriers uśmiechał się pod przystrzyżonym siwym wąsem.

— Oddawna ci to samo radzi- łem. Ale co nagle, to po dyable. Ubogi — święta rzecz! Zakupimy jutro sto tysięcy soupes populaires. Raptem tysiąc ludwików. To będzie tyle tej zupy, że wszyscy będą się

mogli w niej potopić! Uniwersytet — naturalnie, ale nie zapominaj, że na dzisiaj na godzinę pierwszą w nocy czekają na nas... tam. Tego zaś od- kładać niepodobna. Okazy — je- dyna w swoim rodzaju! Żebyś żył sto lat, to takich dziwów nie oba- czysz, nawet za największe pienia- dze. Wyjątkowy zbieg najszczęśli- wszych okoliczności...

Moheno milczał.

— Jak poznasz w Paryżu już wszystko, dopiero się ustakujesz i będziesz człowiekiem. A tak, w po- łowie drogi, zbałamucisz się tylko. Wierz staremu! Już niejednego wy- kierowałem na ludzi. Do pracy trze- ba spokoju. Pohulały jeszcze parę tygodni, potem cię zawiozę do San Remo, czy tam, gdzie zechcesz, wy- poczniesz obadwaj, a na letni se- mestr zapiszesz się do Sorbony. Już ja cię doniluję.

— Dambriers, ja już naprawdę nie chce! Już zupełnie nie mogę...

— Wyśpij się najprzód, potem będziesz gadać.

— Nie, za nic w świecie...

— Dobrze, dobrze...

Dambriers dopilnował, że chłop- ca rozebrano i ułożono spać. Mohe- no usnął w jednej chwili. Baron su- rowo nakazywał służbie, żeby go zo- stawiono w spokoju aż do wieczora, i zabronił wpuszczać do niego kogo- kolwiek.

Słuchano go z najwyższem usza- nowaniem, jakgdyby on tu był pra- wdziwym panem.

DCN.

MARYA SZPYRKÓWNA.

## Dworek pod Lipkami.\*)

U dworku Pod Lipkami okuta stoi brama,  
u dworku Pod Lipkami, sędziwy bieży mur —  
tu piękna, smutna pani dumala niegdyś sama,  
a lipy jej szumiały do tęsknych myśli wtór...

U dworku Pod Lipkami w troisty splot się wiąże  
prastara macierz-lipa, podziwem więżąc wzrok:  
stąd niegdyś w świat po Polskę odjeżdżał z Polski książę  
w ów dzień, pamiętny sercom, w pamiętny sercom rok...

a na nim staroświecki dożywa wieku rym —  
U dworku Pod Lipkami ciosany głaz cię nęci,  
w bolesne dni rozłaki, na wieczną cześć pamięci,  
swe smutki piękna pani zakłęta w głazie tym...

U dworku Pod Lipkami srebrzyście szumi Wisła,  
u dworku Pod Lipkami samotny duma krzyż —  
wybłysła zbrojna chwała, wybłysła i — rozprysła,  
a Ty, Rycerzu-Wodzu, wieczystem śnieniem śniesz...

U dworku Pod Lipkami w jesienny zmierzch omglony  
prastara lipa-macierz poszumne skargi śle —

\*) Dworek „Pod Lipkami” w Krakowie, niegdyś własność ordynatowej Zofii Zamoyskiej, pamiętny tem, iż d. 8 maja 1813 r. ks. Józef Poniatowski, po podwieczorku pożegnany, wyruszył stąd na ostatni swój bój. W parku glazy z napisami z owego czasu.

z klasztornych, srebrnych wieżyc zaduszne płyną dzwony,  
a drzewa szepcą pacierz poległym w dziejów mgle...

U dworku Pod Lipkami przechodniu, zwolnij kroku,  
spójrzyj na siwe glazy, na drzew sędziwych pleśń —  
i niech ci w smutnej duszy zwątpieniu i omroku  
z osiemset trzynastego rycerska zagra pieśń!...

AMELIA GRABOWSKA.

## Miedzy świerków kolumny.

Miedzy świerków kolumny, w leśne kurytarze  
chadzała dusza moja, miłości spragniona,  
i wyciągała w pustkę łaknące ramiona,  
i w powietrzu widziała zjawiskowe twarze...

I leśnych jagód chłodne całowała usta,  
i w wód szumie słyszała dziwne przepowiednie...  
W nocy tkala. Plakały suche oczy we dnie  
i twarz zbierała nagle, jako lniana chusta.

I długo posyłane w przestrzeń słowa śpiewne  
powracały samotne, jak były posłane,  
i tak dusiły gardło, że nie mogło szlochać...

Aż kiedyś dusza w lesie spotkała królowne,  
i ścichły tęskne pieśni, zagnała zastrachane,  
że może cudna Pani nie zechce pokochać.

## Rozdział XLI.

Wkrótce potem opuściliśmy Włochy, udając się w powrotną drogę do Anglii. Mieliśmy podróżować wolno, zatrzymując się w wybitniejszych punktach Europy, ale mnie myśl poznania ich nie sprawiła żadnej przyjemności.

Pierwszym naszym etapem było Monte Carlo, ten uroczy ogród Mediteranii, który zdaje się być uśmiechem Boga i przekleństwem człowieka.

Gdyby mi było dozwolone przebywać wciąż z naturą, byłabym tam odetchnęła i uspokoiła się, lecz Alma, której chodziło o pozory, zabierała mnie ze sobą do Kasyna, a ja nie umiałam oprzeć się jej miodowemu słówkom i namowom, pomimo, iż czułam doskonale ich nieszczerść.

Kasyno stało mi się wstrętnem od pierwszej chwili. Nie mogłam znieść tej ciężkiej perfumami i gorącością zdyszanych oddechów przesyconej atmosfery, tego ciągłego brzęku złota, krzyku krupierów i widoku miotanych niezdrową nadzieją, chciwością i rozpaczą twarzy, natłoczonych dokoła stołów. To też, jak mogłam najczęściej, wymykałam się, by patrzeć na kwiatowe zabawy na ulicach, lub wdrapywałam się na wzgórze La Tourbie, wyobrażając sobie, że jestem z Jurkiem Conradem na moich ojczystych skałach, lub wreszcie do mego pokoju i, siedząc przy oknie, patrzyłam na biedne, zranione gołąbki, jak wpadały w morze pod nieudolnymi strzałami okrutnych pseudo-sportsmenów.

W Monte-Carlo wszystkie złe skłonności mego męża wyjaaskrawiły się jeszcze bardziej. Gorączka gry opanowała go całkowicie. Z początku szczęście mu sprzyjało, ale potem zaczął przegrywać i stał się wprost wstrętnym.

Pewnego wieczoru, około ósmej, siedziałam w moim pokoju, opatrując gołąbka o złamanym skrzydle, który wpadł biedaczek, przez otwarte okno, gdy mąż mój wszedł rozczarowany, z oczyma świecącymi dzi kim ogniem.

— Karta mi się odwraca! — zawołał zdyszany głosem. — Dawaj prędko pieniędzy!

Miałam zaledwie parę sztuk złota w portmonetce.

— To daj mi czek.

Zwróciłam mu uwagę, że banki już zamknięte i czek na nic by mu się dziś nie przydał.

— Ale lombardy otwarte, a ty masz dosyć klejnotów. Przestań cackać się z tym ptakiem i daj mi co do zastawienia.

Obrzydzenie zatamowało mi głos w gardle. Milcząc, wskazałam mu

szufladę, gdzie były schowane moje klejnoty; on zaś otworzył ją gwałtownie, wziął, co mu było potrzeba, i, nie dodawszy już ani słowa, wybiegł z pokoju.

Nie widziałam go potem przez dwa dni. Trzeciego przyszedł wreszcie, wymizerowany, z zapadniętymi oczyma, i powiedział mi, że musi wyjechać natychmiast „z tej podłej dziury“ inaczej zrujnujemy się wszyscy do szczeru.

Zatrzymaliśmy się następnie w Paryżu; tam, stanawszy w pierwszorzędnym hotelu na Polach Elizejskich, spotkaliśmy znów egipskie i rzymskie znajomości w powrotnej drodze do rodzinnych pieleszy, przeważnie angielskich i amerykańskich.

Co do mnie, nie mieściło mi się wciąż w głowie, że może być tylu ludzi na świecie, nie mających nic do roboty, prócz bezmyślnego przewłoczenia się z miejsca na miejsce.

Mąż mój miał mnóstwo znajomości pomiędzy wykwinutymi paryżanami i znaczną część dnia przepędzał w ich towarzystwie, wieczorem jednak (może za namową Almy) oprowadzał nas po najplugawszych spelunkach.

Tolerowałam to zrazu, lecz przyszło mi na myśl, że jeśli w dalszym ciągu, bez względu na cel lub pretekst, będę brać udział w godnych pogardy rozrywkach mego męża, to stanę się do niego podobną i przywiódę duszę moją do zaturaty. I od tej chwili wymówiłam się stanowczo i raz na zawsze od upokarzającej roli „przyzwoitki“ w nieprzyzwoitościach, jaką mi oboje z Almą narzucili.

Nazajutrz, po powzięciu tego postanowienia, poszłam do spowiedzi do kościoła Madeleine i nie zapomnę nigdy uczucia jakiejś dziwnie oczyszczającej mocy, jakie mnie ogarnęło no przystąpieniu do Komunii świętej. Na chórze organy grały mszę Perosięgo, słicznie dobrane głosy śpiewały *Gloria in Excelsis*, a mnie, klęczącej, zdawało się, że dusza moja ulatuje na skrzydłach tych głosów do stóp Przenajświętszej Dziewicy, której cudna postać wisiała nademną.

Z dziwnie lekkim sercem wyszłam po skończonym nabożeństwie z kościoła.

Dzień był prześliczny; świeże technienie wiosenne unosiło się w powietrzu; białe domy Paryża błyszczały w słońcu, a pod kasztanami Pól Elizejskich gromadka dziewczątek, wracających do szkoły po przyjęciu Pierwszej Komunii, bielila się wśród zieleni, jak śnieżne objawienie zabłąkanych chwilowo na ziemię aniołów.

Wzrok mój z rozkoszą spoczął na tej gromadce; wsłuchiwałam się w

niewinny, wesoły szczebiot tych słodkich twarzączek i sama czułam się dzieckiem, lecz, gdy przystąpiła próg naszego hotelu, opadły mnie poważniejsze myśli i mówiłam sobie, że oto święta i wielka tajemnica sakramentu, połączenia i miłości napelniła mnie mocą, dzięki której będę już mogła iść śmiało przez życie i znieść wszelkie zło, jakie mi sędzone jest napotkać, z wyrozumiałością i przebaczeniem.

Ale, och! jakże mało, jak nie wie kobieta o swoim sercu, dopóki go ogień namiętności nie ogarnie!

Wszedłszy do saloniku, który, jak zwykle, rozdzielał nasze sypialnie, ujrzałam moją pokojówkę, Price, podsłuchującą pod zamkniętymi drzwiami mego męża. Już chciałam ją złać za ten niestosowny postępek, gdy ona, położywszy palec na ustach, przysunęła się do mnie z roziskrzonymi oczyma.

— Mylady może mnie wypędzi, — wyszeptala — ale ja także muszę swoje powiedzieć. Mylady już i tak zawiele zniosła, ale proszę posłuchać trochę pod temi drzwiami i przekonać się, czy, jako kobieta i żona, może to mylady znosić dłużej.

I z temi słowy wyszła z saloniku, a ja stałam, iak wrośnięta w posadzkę. Mimowoli, ulegając jakimś wewnętrznemu popędowi, który był silniejszym odemnie, nadstawiłam ucha i usłyszałam wyraźnie dwa głosy w sypialni mego męża: jego głos, donośny i chrapliwy, i drugi, kobiecy, miękki i przyciszony.

Nie potrzebowałam zastanawiać się ani na chwilę, by wiedzieć, do kogo ten drugi głos należał. I nagle, poczucie krzywdy i zniewagi zalało mi duszę, iak płomień. Byłam ofiarą zdrady i przewrotności męża i przyjaciółki, i tego mi już było nadto. Oczyszczający i łagodny wpływ Sakramentu rozwiął się, iak mgła. Stąpając zeicha po dywanie, podeszłam do drzwi sypialni mego męża i szybko ujęłam za kłankę.

Drzwi były zamknięte na kucz.

Usłyszałam szmer w pokoju, i szybko, iak błyskawica, wybiegłam na korytarz, by wejść drugimi drzwiami. Ale zanim zdążyłam to uczynić, usłyszałam, iak jakaś ręka odmyka ostrożnie zasuwkę. Wówczas ochnęłam drzwi i weszłam śmiało. W sypialni nie było nikogo, prócz mego męża.

Lecz zdążyłam wejść w porę, by usłyszeć szelest kobiecej sukni w sąsiednim pokoju i zobaczyć drzwi odeń zamykające się pocichu.

Pomimo, że na dworze słońce świeciło jasno, w sypialni panował półmrok od pozapuszczanych szczelnie rolet i firanek i unosiła się woń perfum, zmieszanych z dymem cygara.

Mąż mój stał pośrodku, z włosami w nieładzie i jakimś nawpół nieprzytomnym uśmiechem na ustach, ukazującym jego sterczące przednie zęby. Wydał mi się ohydny.





... Nadstawiałam ucha i usłyszałam wyraźnie dwa głosy...

— Cóż to za nieoczekiwana przyjemność! — wymówił pierwszy, widocznie nadrabiając miną. — O ile wiem, zdarza się to po raz pierwszy... po raz pierwszy, odkąd...

Ogarnął mnie jakiś śmiertelny chłód; miałam wrażenie, że zemdleję. Przemogłam się jednak i rzekłam:

— Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Wszystko? A cóż miałbym więcej, moja droga? Nie rozumiem...

— Rozumiesz bardzo dobrze — odrzekłam i patrząc na drzwi sąsiedniego apartamentu, i dodałam: — Rozumiecie oboje...

Zaczął się śmiać pijackim, idyotycznym śmiechem.

— Och!... myślisz, że... wyobrażasz sobie może...

— Słuchaj—przerwałam. — Teraz już wszystko pomiędzy nami skończone!

— Skończone? Alboż było co zaczętego?... Doprawdy, nie przypominam sobie...

— Zaprzestań drwin! — rzekłam nieco mniej pewnym głosem. — Chcę powiedzieć, że nie ścierpię już dłużej tej farsy nazywania się twoją żoną.

Zaśmiał się znów.

— Farsy! Winszuję ci, moja droga. Znalazłaś doskonałe określenie. Nasz stosunek jest farsą od dnia ślubu, i jeżeli dziś można mi coś zarzucić, sama sobie przypisz winę. Trudno wymagać wierności od mężczyzny, którego żona obcuje tylko ze świętymi i aniołami.

Jego brutalna żartobliwość do-

tknęła mnie do żywego. Uczułam też, iż ze swojego punktu widzenia, mój mąż ma coś na swoją obronę i, nie mogąc mu dotrzymać placu, odwróciłam się, by wyjść z pokoju.

On wówczas otworzył przedemną drzwi i ukłonił mi się z drwiącą miną bardzo nisko.

Wróciwszy do swego pokoju, ledwo zawlokłam się na łóżko; tak byłam osłabiona i złodowaciała, że Price musiała rozgrzewać mi nogi butelkami z gorącą wodą.

A potem lży nabiegły mi do oczu i zaczęłam szlochać, jak dziecko.

## Rozdział XLII.

Nazajutrz czułam się bardzo nie-dobrze i Price radziła mi, bym poleżała w łóżku, lecz wstałam natychmiast, usłyszawszy, iż mój mąż mówi o powrocie do Londynu.

Podróż odbyła się bez przygód. Siedzieliśmy w trójkę w przedziale kolejowym i w parowcowej kabinie, mając za jedyne towarzystwo Bimba, iannika mego męża, i Prue, pekińskiego wyżełka Alny.

Mąż mój, aczkolwiek nie przeprosił mnie za swoje wczorajsze postępowanie, był uprzejmy, a wytrzewiawszy, musiał zapewne myśleć o tem, że wkrótce przyjdzie mu się spotkać z moim ojcem, a więc z jedynym człowiekiem na świecie, z którym się trochę liczył.

Alma również miała nieco wystraszona minę; ale usiłowała pokryć ją zdwojoną dla mnie czułością, powtarzając często, jak jej przykro, że „naidroższa Maryjka“ niedobrze się czuje, że widocznie powietrze Południa mi nie służy, więc ona tem tylko się pociesza, iż ojczysty klimat powróci mi zdrowie.

Zajechaliśmy do wspaniałego hotelu przy Trafalgar Square i, gdy mój mąż wybierał pokoje dla nas, Alma ostentacyjnie zażądała apartamentu na innem piętrze.

Zainstalowawszy się, poszłam natychmiast do łóżka, poczęści dlatego, iż byłam istotnie zmęczona nad wszelki wyraz, a poczęści, by zostać samą i rozważyć, co mi dalej czynić wypada.

Mówiłam sobie, że tak czy inaczej, wszystko pomiędzy mną a moim mężem skończone, że nie ścierpię dłużej takiej sromoty, lecz będę żyć własnym, czystym, spokojnem życiem, którego tak łaknęła moja dusza.

W takim usposobieniu zasnąłam, ale gdy nazajutrz obudziłam się prawie o świcie, postanowienie moje poczęło słabnąć. Słuchałam głuchego turkotu gumowych kół powozów i samochodów pod memi oknami i, przypominawszy sobie, że nie mam żywej duszy w Londynie, do której mogłabym się zwrócić po radę i pomoc, uczułam się dziwnie opuszczoną i bezsilną.

Instyktownie zrozumiałam, że napróżno szukałabym poparcia u mego ojca; bo choć może natarłby porządnie uszu memu mężowi, to w

28